

POZA ZASŁONĄ

Péguy mógł nieświadomie nieco zaszkodzić cnotcie nadziei lub przynajmniej spowodował pewne zamieszanie. Radosna dziewczynka, która maszeruje między swymi starszymi siostrami, może sprawić wrażenie beztroski i niedojrzałości. Ma ona rysy i kolory nadziei, która dotyczy spraw tego świata, jeśli posłużymy się cennym rozróżnieniem między określeniami *espoir* i *espérance*, spotykanym może tylko w języku francuskim. Obraz Péguy może się okazać mylący, ponieważ nadzieja jest także cnotą dorosłą, która nie ma nic do pozazdroszczenia swym starszym siostram. Gabriel Marcel, który uczynił z niej oś swej filozofii, nie lekceważy jej werwy i młodzieńczej żarliwości, ale zna także jej inny aspekt: pokorę, cierpliwość, wierność, którą czyta na twarzach starych służących. To prawda, że wzlatuje ona radośnie, gdy przybiera oblicze ziemskiej nadziei. Ale ten wzlot — silny i niezaspokojony — jest trzepotaniem skrzydeł ku horyzontowi, tam, gdzie nie sięga wzrok, jak to opisał Goethe w swoim orfickim lub gnomicznym poemacie zatytułowanym *Elpis* = nadzieja.

Obraz skrzydeł, tak jak równie często przywoływany obraz płomienia, wyraża dynamikę „elpidiańską”. To nadzieja daje bowiem wierze rację bytu i napełnia ją tajemnym życiem. Obie są nierozłączne. W swoich słynnych krytycznych pytaniach Kant natychmiast dołącza do: w co mam wierzyć? zapytanie: *czego mogę się spodziewać?* Demony mają wiarę, ale nagą i bez nadziei (według przepowiedni Dantego), dlatego drżą. Arthur Rimbaud ma wiarę, ale nagą i bez nadziei, dlatego przebywa w piekle: *Żadnej nadziei. Żadnego orietur?* Nadzieja zależy bezpośrednio od miłości, która jest dobrem *par excellence*, zaś trzy cnoty teologiczne tworzą ścisły związek, trójcę. Gabriel Marcel utworzył formułę tej solidarności: ufam Tobie dla nas, gdzie miłość wyraża trwanie zagwarantowane przez wiarę dopełnioną nadzieją.

Gdy wiara zamienia się w zaufanie i wierność, kiedy wchodzi w życie i w bieg czasu, staje się prawie niemożliwa do odróżnienia od nadziei. Wyjaśnia to dość zdumiewającą na pierwszy rzut oka metaforę — kotwica duszy: „Trzymajmy się jej (zaofiarowanej nam nadziei) jako bezpiecznej i silnej kotwicy duszy, która przenika poza zasłonę” (Hbr 6, 19). Kotwica to wyraźne przeciwieństwo skrzydła, obraz statyczny. Nie należy zbyt szybko odrzucać

obrazu kotwicy, która przytwierdza, przytrzymuje, nie pozwala statkowi dryfować, ani wpaść na podwodne skały, obrazu, który tak wyraźnie łączy nadzieję z wiarą. Nasza dusza jest zakotwiczona w Bogu, znalazła w Nim oparcie, zamocowanie, które zapewnia jej wytrwałość i ją chroni. Ale kontekst zachęca do nieprzecenia statycznego jej charakteru. Kotwica jest siłą, która przytwierdza do portu, gwarancją trwałości w obliczu niepewności i zmienności kolei losu, charakteryzujących ludzkie życie. Jest także zakończeniem przeprawy, kotwicą, którą rzucamy, gdy przybijamy do brzegu, a w tym sensie także symbolem naszego nadprzyrodzonego przeznaczenia: „nadzieja zarzuca swoją kotwicę w niebiesiech” (Julies Lequier). Kotwica, przytwierdzona do burty statku, stale przypomina cel. Zaś nadzieja, bez względu na to, jak bardzo jest cierpliwa i pozbawiona środków, nie traci nigdy z oczu horyzontu i tego, co rysuje się za nim. Jest napięciem, które nie słabnie i które przewycięża przeszkody. Świadczy o tym werset z *Listu do Hebrajczyków*, ponieważ do trwałej siły przekonania dodaje on przebicie się „poza zasłonę”. W *Liście* chodziło o zasłonę świątyni, którą jedynie wielki kapłan odsłaniał raz do roku: obecnie zaś chodzi o miejsce, w którym Jezus, Najwyższy Kapłan, poprzedził swój lud: tam — poza ziemskim istnieniem — dołącza się nadzieja. Potwierdza to kluczowa deklaracja św. Pawła: „Jeżeli tylko w tym życiu w Chrystusie nadzieję pokładamy, jesteśmy bardziej od wszystkich ludzi godni politowania” (1 Kor 15, 19).

Innym odpowiednim obrazem jest błysk, albo — jak w przepowiedni św. Piotra — lampa świecąca w mrocznym miejscu. Kojarzy się on z wartownikiem, strażnikiem, który bada noc, czeka na pierwsze oznaki świtu i cieszy się, gdy dostrzeżga w oddali cieniutki, świetlisty promyk zapowiadający wschód słońca, a także z wiernymi—służącymi z Ewangelii, którzy z przepasany-mi biodrami i zapalonymi pochodniami w ręku, czekają na niespodziewany powrót pana. Chrześcijanin jest tym wartownikiem, tym rysiem, tą parą oczu wpatrzonych w ciemność, aż do czasu, gdy jakiś ogień, jakieś światło odpowie na jego świetlny sygnał, niestrudzenie penetrując drogę i czuwając nad jego krokami. Nocnym strażnikiem, tak jak byli wspaniałymi strażnikami Ernest Hello, Léon Bloy, Paul Claudel. Niestety, oczekiwanie chrześcijan jest dziś przytłumione, osłabione przez zeświecczenie i przez „odrzućcie śmierci”. Nasi współcześni nie oczekują już niczego, w każdym razie niczego cudownego, a ich oczekiwania są małostkowe, krótkowzroczne: silna nadzieja, która elektryzuje, zanika, ponieważ nie znajduje już odpowiedniego gruntu, odkąd

zaczęto zarzucać chrześcijanom, że wolą niebo i kultywują ucieczkę z tego świata. Otóż chodzi o zastąpienie w sercach godnej politowania pasywności, właściwej „poczekalniom” — uwagą czujną, pełną pragnienia. Gdyby była w nas nadzieja wielkości choćby ziarna gorczycy, zmieniłoby się całe nasze zachowanie, pierzchłyby lęki i drobne kalkulacje, ileż rzeczy wydałoby się nam bez znaczenia, niegodnych człowieka wezwanego do innego stanu! Pieśni św. Teresy z Avila: „W porównaniu z dobrem, na które czekam Cała reszta jest tylko zabijaniem czasu”, wtóruje głos Claudela z *La Messe la-bass*:

„Te wszystkie rzeczy, które tak kochaliśmy i którymi w gruncie rzeczy się brzydzymy. Co za radość móc powiedzieć sobie, że trzeba będzie wszystko to porzucić!”

Nadzieja, zaszczepiona na wierze („substancji rzeczy, na które czekamy”), stawia na przyszłość, jak każda nadzieja, ale w jej przypadku chodzi o przyszłość absolutną. Istnieje bowiem oczywista zgodność pomiędzy cnotami teologalnymi i wymiarami czasu. Miłość należy do terażniejszości, która jest nagłością, nie pozostawiającą nam żadnego wytchnienia i której nie można odroczyć. Nie ogląda się wstecz. Albo raczej terażniejszość należy do miłości, niestrudzenie wytycza bieg czasu poświęconego uczynom miłości. Dlatego miłość „nigdy nie ustaje” (1 Kor 13, 8); wszystko zapomina, niczego nie oczekuje. A przecież w tym oderwaniu, w tej bezinteresowności zawiera dwie pozostałe cnoty: „Wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję” (1 Kor 13, 7), albowiem jest ona w pewnym sensie ich kwintesencją: z wiary ma całkowitą akceptację i bezgraniczne oddanie, z nadziei — pragnienie i ogień. Wiara opiera się na przeszłości jak na nieruchomym cokole, na tym, co zawsze było, od niepamiętnych początków Boga do tradycji: kościelnej i rodzinnej, zaszczepionej nam w dzieciństwie. Jest zgodą, jak to doskonale ukazał kard. J. Newman, ale zgodą na prawdy przekazane, darem przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Słowa Kierkegaarda: wierzę, ponieważ mój ojciec mi to powiedział, kryją głęboki sens, ponieważ łączą z prostotą dzieciństwa przekazywanie słowa i autorytetu ojca, którego ojcostwo pochodzi od Ojca Światłości. Przynależność wiary do przeszłości — tego pełnego powagi pojęcia, jak twierdził Schelling — nie oznacza żadnego skostnienia, żadnego znumifikowanego dziedzictwa. Oznacza korzenie, bez których soki nie miałyby skąd czerpać swego bogactwa. „Drzewo ma jeszcze nadzieję” — czytamy w *Księdze Hioba*. Wiąż z przeszłością jest nie tylko gwarancją pewności, ale elementem zaufania i wierności. Wreszcie nadzieja, nie zrywając więzów z wiarą i miłością, bez których

szybko gaśnie, kieruje się ku przyszłości, albo raczej wybiega poza tę bezkształtną przyszłość, która nie należy do nikogo, a którą na próżno próbują rozszyfrować wróżbici i futurologicy. Nie oznacza to, że nie ma w niej czasowej domieszki; byłoby to niemożliwością i iluzją. Nadzieja uczy się cierpliwości w czasie, ale zmierza do przyszłości, która wykracza poza *ultima linea rerum*. Jedyne prawdziwy święty, mistyk, pałający gorącą miłością, żyje już w wieczności, a jego nadzieja przeciwstawia się trwaniu i tęsknocie czasu, który zostaje w pewnym sensie obrócony w popiół. Wiemy natomiast, że naga i nieufna wiara jest także udziałem, jeśli nie przywilejem, demonów.

Nadzieja ciągnie do przodu, wychodzi naprzeciw wiekom życia, ponieważ, zamiast starzeć się razem z tym, który ją w sobie nosi, młódnieje i biegnie jak zwiastun dobrej nowiny: szuka i znajduje wyjście z tego, co jest bez wyjścia. „Piękne ryzyko” pogańskiego filozofa łatwo jest schrystianizować. „Piękne ryzyko wiary”, niegdyś tytuł bardzo poczytnej pobożnej książki, jest — dokładniej rzecz biorąc — ryzykiem nadziei; jest to najpiękniejsze ryzyko — być może, lepiej byłoby określić je jako „zakład” — zawarty w wierze.

Nie można wychwalać nadziei i przemilczeć śmierć; śmierć jest jednocześnie kresem i zagrożeniem dla nadziei; w każdym razie jest dla niej momentem próby, jej ordaliami. Gabriel Marcel zdawał sobie doskonale sprawę z tego dualizmu. Śmierć w starciu z nadzieją, podstępnie rujnującą ją — to desperacja, przedwczesna śmierć. Istnieje nawet całkowita zmowa pomiędzy śmiercią i desperacją: to samobójstwo. Samobójstwo — to desperacja powodująca śmierć, podczas gdy śmierć powodująca desperację jest udziałem skazańca, konającego, tych „umarłych w zawieszeniu”, którym egzystencjalizm dorobił etykiety. Rozpowszechnianie się samobójstw, nagłych gestów, nieokiełznanych popędów, pokusy pustki, jest złym znakiem dla epoki, która stępiła potrzeby duchowe. Nie wystarczy przypisać tych za każdym razem deprimujących nieszczęść przeznaczeniu i depresji. Społeczeństwo, które generuje samobójstwa, zaniedbało kultywowanie zachowań chrześcijańskiego dziedzictwa: akceptacji cierpień, litości dla siebie samego, dla swej niedoskonałości, swej przeciętności, pobłażliwości dla innych, a zwłaszcza, bardziej niż znajomości samego siebie, sensu życia. Nie powiedziano młodym ludziom, dlaczego są na ziemi i co powinni zrobić z własnym życiem. *Wszystko zabiera czas, jedynie miłość go wykorzystuje*. Co ciekawsze, ten piękny werset został napisany przez Voltaire'a, a Claudel, który go przytoczył, był nim oczarowany, jak jakąś wspaniałą niespodzianką.

Oczywiście, nie da się wyeliminować patologicznych przypadków. Są osoby doświadczone zaburzeniami, których cierpienie jest tak niewymownie straszne, że uwalniają się od niego, błagając o przebaczenie. Znałem takich ludzi. W desperackim geście często zachowywali zdeformowaną, sprowadzoną na manowce, ale żywą nadzieję. To paradoks, a jednak temu, który nie prosił o życie, Bóg nakazuje żyć. Bernanos, który przeżywał straszne kryzysy, rozumiał to, gdy mówił o nadziei „będącej jedynie nieugiętą odmową popadania w desperację”. Rozumiał to także Mounier, gdy pisał o „nadziei zdesperowanych”.

Jak gdyby nadzieja rozwijała w pełni swe skrzydła dopiero nad przepaścią. Najczystsza nadzieja, ta, która dąży do absolutu, czerpie w pewnym sensie z szaleństwa desperacji, albo przynajmniej z pokusy, jaką budzi u każdego myślącego człowieka wielka niewiadoma śmierci, tajemnica, od której stale odwracamy oczy. To właśnie czyni tak pobudzającą lekcję Gabriela Marcela, pielgrzyma nadziei. Jego pewność pokonała strach, odbiła się od pokusy samobójstwa jak od trampoliny. Raz odzyskana nadzieja nie daje się już u niego zdławić. Jest synonimem marszu do przodu, a wędrówka spowodowana wiarą jest sprężyną i racją bytu ludzkiego żywota. „To dusza jest podróżniczką, to o niej można słusznie powiedzieć, że być — oznacza być w drodze, a nadzieja to tworzywo, z którego jest zrobiona nasza dusza”. Nadzieja i wiara wspierają się wzajemnie i opierają się na miłości. Albowiem nadzieja ufa Bożej miłości, albo raczej korzysta z nieograniczonego kredytu otwartego przez Boga. Zacytowaliśmy formułę, która ją streszcza: ufam Tobie dla nas, czyli ufam Tobie, jedyna Ucieczko — dla nas, dla wspólnoty żyjących, którą tworzymy, Ty i ja, ona i ja, ja i bliźni, ja i istoty, które kocham.

Tak więc moja śmierć i jej wyprzedzenie w postaci śmierci ukochanej istoty łączą się z nadzieją na nieśmiertelność. „Ujścia nadziei znajdują się w świecie niewidzialnym”. To nie tylko życzenie, ale stwierdzenie i pewność. Ponieważ nadzieja jest w pewnym sensie poprzedzona, pochłonięta przez wymóg miłości, której sama natura rzuca wyzwanie śmierci i ją odrzuca. „Kochać kogoś, to powiedzieć mu: nie umrzesz” Tym bardziej Boża Miłość, której wyobrażenie „obróciłoby nas w proch” (Bernanos), nie może zaakceptować, by jej słudzy byli skazani na całkowite zniknięcie. Ale na nadzieję trzeba zasłużyć, wymaga ona pozbycia się „mieć”, oderwania się, które ulży ciężarowi, jakim jest „ja”, tej wielkiej namiętności i wielkiego pragnienia, dzięki którym przyspiesza się kroku. Jest tyle martwych dusz, tyle istnień zmarłych przedwcześnie. Wędrówka nie jest błędzeniem ani włóczęgą, ma cel, „który

widzi i którego nie widzi”, a im bardziej przybliża się do niego, tym bardziej przyspiesza kroku. Jej inną nazwą jest nadzieja, która ciągnie nas nieubłaganie ku godzinie, w której nasze życie będzie nie odebrane, ale przemienione. Często cytowałem i powtarzałem modlitwę Gabriela Marcela z zakończenia *Homo viator*, które jest najpiękniejszą z możliwych konkluzji:

„Duchu metamorfozy!

Gdy przedzierać się będziemy przez zasłonę chmur, dzielącą nas od innego królestwa, kieruj naszymi niewprawnymi krokami! A kiedy nadejdzie wyznaczona godzina, daj nam lekkie serce wędrowca zapinającego torbę podróżną, gdy za zamgloną szybą rozkwita blady świt!”

tłum. Małgorzata Tryc-Ostrowska